

MARG | NES

GRUDZIEŃ 2016 SZKOŁA ● UCZNIOWIE ● PRASA

EGZEMPLARZ BEZPŁATNY
NAKŁAD WŁASNY



w numerze

- 2 Okiem redaktora
- 3 Gonić... ?
- 4 12. piętro
- 6 Krypta pełna muzyki
- 7 Droga Łuku
- 7 Świąteczne Zakupy!
- 8 Japońska muzyka relaksacyjna, znasz?
- 8 Bajka o „Łączności”
- 8 Malazańska księga poległych

do towarzystwa	duża wyspa grecka	stare niepotrzebne sprzęty	głęboka woda	lek rozkurczowy	wymiana towarów	egzotyczne piąnce	Lake ... miejsce olimpiady
gaz, świeci na niebiesko					McBeal, serial		
pot. speluna, knajpa							zespół Kasi Nosowskiej
John, prezydent USA					bywa spadzisty		
wyznawca husytyzmu	upośledzenie inteligencji						
					arystokratka z Anglii		

rodzaj kawy	samice psowatych	dla prezentera TV	w nich obrazki	jego żonę Perseida	David, piłkarz angielski	wieś znana z bitwy 1 IX 1939	odsiewana od ziaren	owady w żółto-czarne paski	ministerstwo	przeciwnik Dawida
						złomowisko	ośrodek kultury marynarskiego			
między Europą a Azją				wybrzyk				mieszkaniec Moskwy		są w klawiaturze
Halski z serialu							decyzje sądu			
				Callas, sopran				herb szlachecki		
postać z „Ferdynandka”	można je prenumerować				Krzysztof z TV	element amortyzujący	At dla chemika			
tam parkiet nie do ławienia	... Strawiński, kompozytor	rzeczy zdobyte na wojnie	między wczoraj a jutro	m. w Słowacji			krótkie uklamstwa	V		grzeje szyję
ściana złożona na kupce				marka dezodorantu	państwo z Alaską	śnieżny lub inflacyjny				
mały Krzysztof	twórca kubizmu			wśród damskiej bielizny			tutka			
				zakłęcie			produkuje Celeryny			

Okiem redaktora

Konrad Makuch

Święta i koniec roku to chwile szczególne dla każdego. Czas podsumowań i refleksji powoduje uśmiech lub smutek na twarzach. Można sobie podsumowywać każdy tydzień w niedzielę lub miesiąc ostatniego dnia. Rok to jednak coś wielkiego. Coś, co musi powodować jakąś poważniejsze zastanowienie, a nie tylko oczekiwanie na zbliżającą się imprezę noworoczną. Przecież gdyby nie takie szczególne dni, to nasze życie byłoby totalnym stosem codzienności. Co zrobiłem dobrze? Co źle? Co muszę poprawić? Zaczni myśleć o jutrze, a nie o dziś. Cele trudniejsze do osiągnięcia niż dotychczas to podstawa do rozwoju. Może to banalne, ale trzeba to wszystko sobie powtarzać, żeby wdrożyć w życie, inaczej się nie uda.

Numer, który macie przed sobą może nie jest zbyt świąteczny, ale „Margines” wraca powoli do czasów swojej świetności. Ciekawe artykuły do wieczornego czytania przy kominku lub, jak ktoś woli, rannej lektury przy kawie.

Wszystkich, którzy mają ochotę na chwilę wzruszenia, zapraszam do tekstu „12. Piętro”. Karolina już po raz kolejny zabiera nas w wbrew pozorom nie taki szary świat szpitala na oddział hematologii. Szukacie odprężenia? Krzysiek raczy nas tematem muzyki relaksacyjnej – sam jej słuchałem przy składaniu tego numeru i powiem, że Japończycy znają się na rzeczy. ;) Poza tym jak zwykle czekają na was recenzje – tym razem dwie. Krzyżówki i jeszcze kilka artykułów - wszystko specjalnie wyselekcjonowane.

Tzw. „ustatkovanie się” to chyba najgorsze, co może człowiekowi się w życiu przytrafić. Dlatego korzystając z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia i Nowego Roku, życzę wszystkim kolejnych, nowych celów i (może to głupio zabrzmiało) problemów do rozwiązywania. Nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Tylko tak możemy uniknąć popadnięcia w przyzwyczajenie mówienia „nie da się” i „nie chce mi się” (konfrontacja z moim stanowiskiem w tekście „Gonić... ?”).

Życzymy zdrowych i szczęśliwych Świąt Bożego Narodzenia oraz nowego roku przepięknego chęcią do pracy i nowymi zająciami.

Gazeta Szkolna ZSŁ

Redakcja w składzie:

Michał Grabowski (red. naczelny), Konrad Makuch (skład), Karolina Potoczak, Piotr Bartyzel, Krzysztof Głowacki, Maciej Mleczyko, Piotr Mazurek, Paweł Hadrian, Jan Kuśmierczyk, Maciej Łapczyński

Opieka/konsultacja/korekta:

mgr Bogusław Bogusz

e-mail: margines@tl.krakow.pl
www: margines.tl.krakow.pl

MARGINES



Gonić...?

Michał Grabowski

„CZŁOWIEK PO TO JE, ABY ŻYĆ,
A NIE PO TO ŻYJE, ABY JEŚĆ” - SOKRATES

Nawet najdrobniejsze myśli, najbardziej elementarne potrzeby, najistotniejsze słowa mogą zostać zapomniane w kotle ciągłych obowiązków, zmian czy pejoratywnych emocji. Wszelkie zmiany, które następują w ciągu życia, wywołują nierzadko niepokój i zagubienie w nowym świecie. Powstają konflikty, trudności, a ciągła gonitwa za osiągnięciem sukcesu w życiu zabija chęci do dalszego funkcjonowania. Pośpiech prowadzi do braku pomysłu, a bezmyślność rodzi mnóstwo innych trudności i zmartwień. Nawet jeśli jesteśmy się w stanie nazwać homo sapiens, bądźmy świadomi tego, że człowiek potrzebuje chwili spokoju i okazji do porwania się pozytywnym emocjom. Czy warto gonić za sukcesem i pomyślnością bez myślenia o potrzebach samego siebie?

Słowa Sokratesa mają wielkie znaczenie w dzisiejszym świecie. Wydaje się, że doskonale je rozumiemy, lecz jedna mała zmiana w tym powiedzeniu jasno ukazuje problem: „Człowiek po to stara się, aby żyć, a nie po to żyje, aby się starać”. Poświęcenie teraźniejszości przyszłości spowoduje jedynie załamanie tej teraźniejszości, którą mamy wokół. To trochę jak w filmach o podróżach w czasie – jeśli przeniesiemy się w inne miejsce w czasie i w tej rzeczywistości będzie więcej niż jedna nasza osoba, zaś w innej rzeczywistości (i w innym czasie) naszej osoby nie będzie, spowoduje to niejako załamanie tego momentu, gdy w czasie są dwie osoby o tych samych imionach i tej samej fizjonomii. Powstaną różne anomalie, defekty – co powoduje w konsekwencji śmierć jednej z dwóch takich samych osób, które istnieją w tej samej rzeczywistości. I chociaż nie ma odnośnie tego żadnego potwierdzenia – są to tylko teorie, mary pseudonaukowców o tym, jak mogłoby to wyglądać i dlaczego nie warto w ogóle planować podróży w czasie – jest to również pewna metafora. Jeśli my, ludzie, nie myślimy o teraźniejszości, a skupiamy się na przyszłości bądź przeszłości, nie jest nam dane szczęście. Wyobrażamy sobie szczęście, które będzie w przyszłości lub myślimy o szczęściu, które było w przeszłości, lecz to nie na tym polega życie.

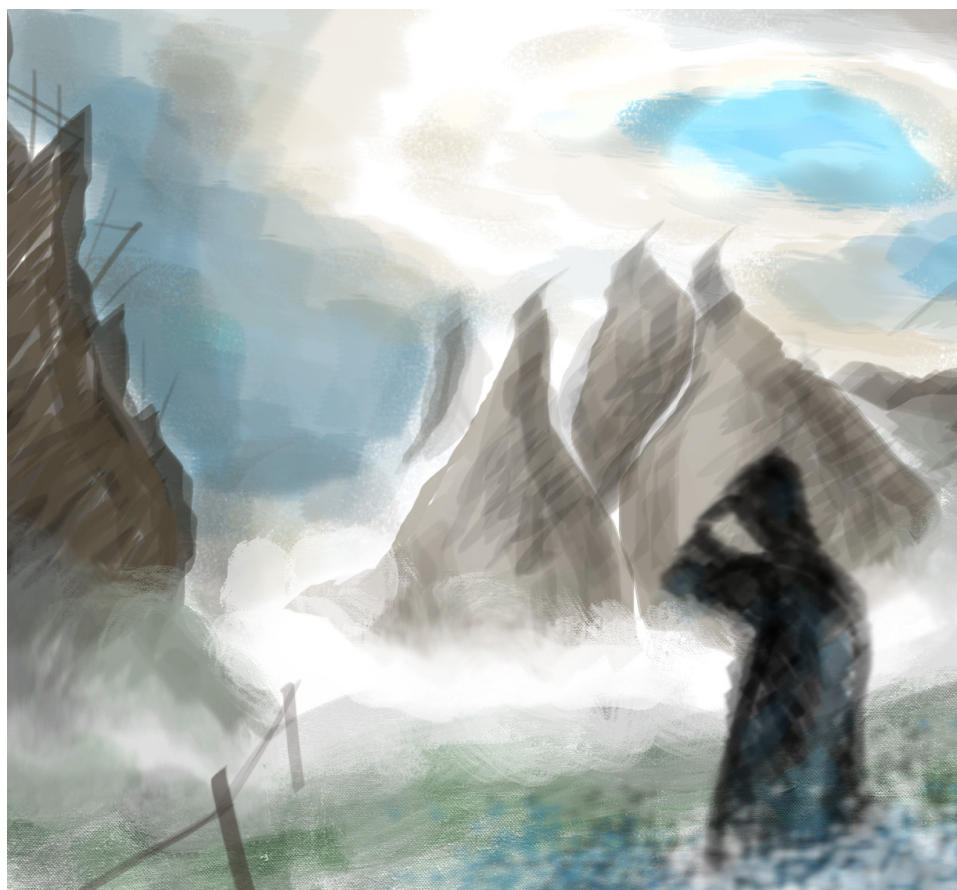
Jeśli spojrzymy na świat z perspektywy jednego wielkiego przypadku, jesteśmy w stanie dojrzeć, że wszystkie nasze niepowodzenia i słabości wynikają tylko ze sposobu naszego myślenia. Twoim prze-

znaczeniem nie są ciągłe nieszczęścia. To czysta koincydencja. Arystoteles twierdził, że wszystkie zdarzenia dążące do jakiegoś celu, powstały w pierwszej swej przyczynie ze zbiegu okoliczności. Najpierw jest natura i przypadek, a następnie wszystkie te przypadki mogą dążyć do jakiegoś celu. Wyobraźmy sobie elektron, który, popchnięty w przypadkowym kierunku, właśnie do jednego celu dąży. Biegnie w jednym kierunku i to jest jego cel, ale czystym przypadkiem było to, iż ten elektron został popchnięty w tym kierunku, a nie innym. Bo w końcu miał jeszcze setki tysięcy innych możliwości. Jego prędkość też jest całkiem przypadkowa – mógłby „biec” wcale szybko, ale popchnięty z odpowiednio mniejszą siłą nie musiałby się już tak śpieszyć. W taki sposób determinizm, który wskazuje na związek przyczynowo-skutkowy jest prawdą, ale czy nie możemy się zgodzić, że praprzyczyna jest całkowitym przypadkiem?

Pomysł do głowy wpadają ludziom zupełnie przypadkowo i od tego czasu realizacja pomysłu nie jest już przypadkiem, a określonym celem. Odkrycie wszystkich praw fizyki, które znamy do teraz, było tak naprawdę zbiegiem okoliczności. Zawsze

mamy jednak wybór – bowiem każdy byt ma możliwość, która może zostać popchnięta do aktu. Pojęcia takie jak „akt” i „możliwość” (bądź „potencja”) wprowadził do swojej filozofii Arystoteles. Oznaczają one, że każdy byt ma swoją możliwość oraz akt. Możliwość, czyli potencja, jest bierna i definiuje ją akt w każdej chwili, gdy dany byt się zmienia. Możliwość określa możliwość zmiany (aktu), zaś akt sprawia, że dany byt istnieje rzeczywiście. Czy Arystoteles nie urodził się przypadkiem i czy ostatecznie przypadek nie spowodował, że doszedł do takich a nie innych wniosków? Każdy cel ma swoją praprzyczynę, która jest przypadkiem, a nasze wybory są determinowane przez nasze cele.

Koniec końców to do nas należy wybór. Niektórzy wybierają poświęcenie i poświęcony sukces – czy do zawodowy czy w szkole – kosztem swoich rzeczywistych cech charakteru. Wybieramy ewentualność, chociaż niekoniecznie będzie ona tym, czego chcemy; czego oczekujemy od życia. To my wybierzemy, czy chcemy jeść, by żyć, czy może żyć, by jeść; starać się, by żyć, czy żyć, aby się starać. Bądźmy świadomi tego, że człowiek wtedy jest szczęśliwy i dzieli się tym szczęściem z innymi, gdy dba o swoje potrzeby. Wydaje się, że to bardzo egoistyczna koncepcja, lecz nie do końca tak jest. Samemu będąc szczęśliwym, można dawać komuś innemu to szczęście, a nie będąc szczęśliwym – w jaki sposób możemy dać komuś to szczęście, którego nie mamy? Zaczniemy od zrozumienia samego siebie.



rys. Piotr Bartyzel

12. piętro

Karolina Potoczak

Opowieść o przyjaźni ze szpitalnego korytarza



Ponure kwietniowe popołudnie. Pamiętam ten dzień dokładnie. Spotkał się wtedy po raz pierwszy. Jadę windą na 12. piętro, na hematologię. Jestem tu od niedawna. Jeszcze nie do końca potrafię się tu odnaleźć. Dziesiątki chorób i pacjentów. Boję się patrzeć na cierpienie i boję się śmierci. Jeszcze jej nie spotkałam, nie stanęłam z nią twarzą w twarz. Przebyte szkolenia, stosy książek i rozmowy z doświadczonymi pracownikami oddziału miały mnie z nią oswoić. Kolejny dzień jest dla mnie wyzwaniem. Lękam się podkrążonych spojrzeń, tysiąch głów i chudych rąk podpiętych cienkimi rurkami do worków z zawartością hucznie nazwaną chemią. Biorę głęboki wdech. Przepętnia mnie typowy szpitalny zapach. Dyżur czas zacząć. Odwiedzam paru stałych bywalców, z którymi zdążyłam się już zapoznać. W końcu trafiam do jego sali. Widzę Krzyśka pierwszy raz. Leży tu od dwóch, może trzech dni. Z twarzy nie schodzi mu uśmiech - jak się później przekonałam, nigdy nie schodził. Zna już swoją diagnozę, ale nie jest do końca świadomy, jaką drogę będzie musiał tu przebyć. Nieśmiało pytam, czy czegoś nie potrzebuje, wiem, że to pytanie może wzbudzić fale niezadowolenia wśród zbuntowanych pacjentów, którzy chcą żyć i chcą wszystkim udowodnić, że sami doskonale sobie poradzą. On jednak od początku jest otwarty na rozmowę. Proponuje, abym usiadła. W głowie od razu pojawia mi się pytanie: „Kim jest?” Odkąd rozpoczęłam dyżury na oddziale, zauważyłam,

że nie każdy pacjent szuka we mnie pomocy i pocieszenia. To normalne, mijamy się na korytarzu, wymieniamy parę słów i obdarowujemy uśmiechami. Znajomości trwające tu i teraz. Nie tkwią mi w głowie, w odróżnieniu od szpitalnych przyjaźni. Spotykając chorego, od razu wiem, że będzie to relacja ważna dla mnie. Historia takiego pacjenta nie jest mi obojętna, przejmuję się jego losem jednocześnie ciągle pamiętając, że to pacjent. Przez psychologów, te dwa rodzaje relacji, są określane jako zdrowe, gdyż nie kolidują z naszym życiem prywatnym. Kiedy spotkałam Krzyśka, od razu wiedziałam, że nie będzie mi obojętny.

Od tego dnia znacznie zwiększyłam częstotliwość dyżurów. Z dnia na dzień spędzałam coraz więcej czasu na rozmowach z Krzyśkiem. Poznawałam jego niezwykłą historię, która pochłaniała mnie coraz bardziej. Większość swojego życia spędził w Niemczech, pracując jako złotnik. Była to jego pasja, jednak najwięcej uwagi poświęcał astrologii. Niezwykle wykształcony człowiek - zachwycał mnie coraz bardziej swoją wiedzą. Wprowadzał mnie w mistyczny świat, tak obcy i odległy dla mnie. Gdy słuchałam niezwykłych historii, niejednokrotnie przeszywał mnie dreszcz emocji. Nie ukrywam, że od początku byłam sceptycznie nastawiona do jego poglądów, bo kto od razu uwierzyłby, że człowiek zaczyna życie wraz z pierwszym wdechem, który pochłania kosmos, w którym zapisane jest nasze przeznaczenie? Fascynacja planeta-

mi i tajemnicą ludzkiego szczęścia zaraziła również mnie. Podczas naszych rozmów zapominaliśmy o szpitalu, chemii i białaczce. To był nasz świat, do którego nikt nie miał wstępu. Oprócz przyjaźni z Krzyśkiem nawiązałam wiele nowych wartościowych znajomości. Nie mogę do tej pory uwierzyć, jak paradoksalnie wiele dobrego może nas spotkać w miejscu kojarzonym wyłącznie z bólem. Odkryłam inną, zaskakującą stronę szpitala. Każdy dyżur dawał mi coś nowego. Przychodząc na oddział, byłam niczym mała dziewczynka w sklepie ze słodyczami. Prawdopodobnie to porównanie może dziwić, ale nigdy nie czułam się tak szczęśliwa jak wtedy. Na hematologię najczęściej trafia się przez choroby typu białaczka, szpiczak czy chłoniak. Takie diagnozy brzmią strasznie, kojarzą się z rychłym końcem. Każdy, kto miał styczność z choćby jedną z tych chorób, wie, że łączy się ona ze strachem i niepewnością. Na naszym oddziale tego zupełnie nie czuć. Pacjentów można przyrównać do najodważniejszych ludzi na świecie. Śmieją się chorobie prosto w twarz i przekazują masę pozytywnej energii. Ciężko wyrazić słowami, jak wiele dała mi praca na rzecz chorych. Pierwszy raz w życiu było mi wstyd za to, że tak mało się uśmiechałam i tak mało było we mnie pozytywnych emocji. Dostrzegłam w końcu, że życie jest po to, aby się cieszyć. Wszyscy moi bliscy zauważyli moją zmianę. Mimo że dyżur zaczynałam nawet po 9 godzinach spędzonych w szkole, nigdy nie miałam dość. Przekraczałam drzwi oddziału i wstępował we mnie nowy duch życia. Tyle energii może dać tylko życzliwość i radość drugiego człowieka. Pacjenci zmienili moje życie, wyrócili je dosłownie do góry nogami. Nauczyli mnie, jak rozmawiać o ciężkich tematach, o chorobie i śmierci z uśmiechem na twarzy. Strach ma tylko wielkie oczy, a każda sytuacja w życiu przynosi ze sobą jakieś wartości. Oczywiście zdarzały się sytuacje, w których płakałam ja,





płakał pacjent. Smutek przewijał się niejednokrotnie. Ważne jednak było, aby zrozumieć złą sytuację, stawić opór lękom i śmiało iść dalej do przodu.

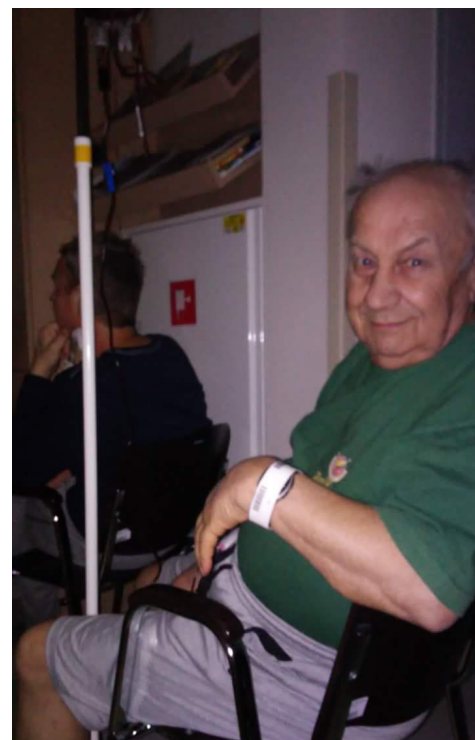
Szpital był tak naprawdę moim drugim domem. Spędzałam tam każdą wolną chwilę. Zapomniałam, co to zmęczenie. Uśmiech, szczęście, szczerość, radość, pełnia energii i siła. To wszystko tak łatwo odnaleźć na 12. piętrze. Ja odnalazłam również bezgraniczną przyjaźń. Więź między mną a Krzyskiem była coraz silniejsza. Krzysiek przestał być już dla mnie pacjentem. Przestał być chorym. Dla mnie był przyjacielem, któremu mogłam wszystko powiedzieć. Według Krzyska nasze planety były ułożone w sprzyjającym dla siebie położeniu, ja nie miałam teorii na ten temat, ale dwa kolejne miesiące uświadomiły mi, jak wiele szczęścia daje mi ta znajomość. Krzysiek jako moje zupełne przeciwieństwo pokazywał mi inny świat niż ten, który znałam do tej pory. Nadal nie mogę uwierzyć w to, jak wiele czasu spędzaliśmy na słuchaniu buddyjskich mnichów czy rozmowach o przeznaczeniu człowieka. Krzysiek zarażał optymizmem w każdy możliwy sposób. Jego mowa, specyficzny sposób wypowiedzi, w którym stęzenie niewłaściwych słów przekraczało jakiejkolwiek normy, nikomu nie przeszkadzało. Żarty, które opowiadał, bawiły do łez nawet oschły personel. Często też rozmawialiśmy na poważne tematy. Opowiadał mi o swoim życiu. Był przekonany, że jego choroba narodziła się przez niego samego. Uważał, że każdy z nas może wyhodować swojego raka poprzez otaczanie się niewłaściwymi ludźmi i bycie nieszczęśliwym. Powtarzał, że muszę pamiętać w życiu o szczęściu i dążyć do niego, bo taki właśnie jest cel każdego człowieka. Mówił, że on odnalazł szczęście po powrocie do Polski. Czuje się tu dobrze i nawet białaczka nie stanowiła dla niego problemu. W rozmowach z innymi pacjentami niejednokrotnie zauważałam wpływ Krzyska. Często zamknęci w sobie i jeszcze

nieoswojeni z diagnozą brali z niego przykład i często cytowali jego słowa. Był autorytetem dla niejednego chorego, a ja byłam dumna, z tego, że jestem jego przyjaciółką. W niedługim czasie nasza znajomość stała się znana na całym oddziale. Byliśmy swego rodzaju buntownikami łamiącymi szereg zasad (oczywiście w granicach rozsądku :). Zajadanie ciasteczek, które nie powinny znaleźć się w diecie Krzyska, spacerów po korytarzach w trakcie wydawania posiłków, a nawet uścisk na pożegnanie były granicami, których nie powinniśmy przekraczać, a jednak pielęgniarki z chęcią przyrzucały na to oko. Życie jest po to, aby z niego korzystać! Tak bardzo kochałam wtedy życie.

Aż w końcu nadszedł luty, przynosząc ze sobą kolejną porcję chemii. Chemii najmocniejszej – najmocniejszej, bo przygotowanej do przeszczepu. Ostatnia prosta - dla nas ogromne szczęście i nadzieja na zdrowie i uwolnienie z siideł białaczki. Wszystko szło w dobrym kierunku. Ponure popołudnie lutego. Pamiętam ten dzień dokładnie. Jadę tramwajem i słyszę dźwięk telefonu. Odbieram i w słuchawce słyszę głos Krzyska. Byliśmy dziś umówieni, więc w żartach pytam, czy tak bardzo tęskni, że wydzwania do mnie zaraz przed spotkaniem. W odpowiedzi słyszę ciche : „Jest źle, proszę przyjeżdż...”. Źle? Ale jak to źle? Przecież wszystko było w porządku. W głowie pojawia mi się tysiąc myśli, a do oczu napływają łzy. Cały świat właśnie rozpadł się na milion kawałków. Jadę windą na 12. piętro na hematologię. Jestem tu dziś tylko dla niego. Chcę go jak najszybciej zobaczyć. Przed izolatką, w której znalazł się Krzysiek, spotykam znajomego. Zawsze pomagał mi w ciężkich chwilach na oddziale dlatego i tym razem proszę, aby poszedł ze mną. Łzy zaczynają spływać mi po policzkach. Drżącymi rękami zakładam maseczkę i fartuch, dezynfekuję dłonie. Staram się uśmiechnąć jednak płacz jest silniejszy. Widzę Krzyska co najmniej 10 lat starszego. Szara cera, zapadnięte policz-

ki, setki przewodów, cienkich rurczek oraz specjalistyczna aparatura. Boję się. Widzę ból w jego oczach. Prosi, żebym nie płakała. Wszystko dzieje się tak szybko. Zapewnia, że przegrywa tylko jedną bitwę. Wojnę wygra już niebawem. Do sali wchodzi jego brat wraz z lekarzem, który informuje nas o przewiezieniu na intensywną terapię. Sytuacja jest bardzo poważna, a czas staje się naszym największym wrogiem. Pakuję rzeczy Krzyska, a on prosi, żebym była silna, że wróci, że to nie jest nasza ostatnia rozmowa. To wszystko jeszcze do mnie nie dociera. Znajomy stara się mnie uspokoić. Widzę, jak Krzyska zabierają pielęgniarki, ktoś rzuca ciche: „Wszystko w rękach Boga”. Nie rozumiem, nie chcę, nie wierzę... Przecież wszystko będzie dobrze, wszystko będzie dobrze...

Kolejny dzień. Krzysiek przechodzi operację, nikt nie daje nam złudzeń, szanse są nikłe. Nie jadę windą na 12. piętro, na hematologię. Wchodzę do przedsionka oddziału intensywnej terapii. Wiem, że dalej nie mogę wejść, nie jestem rodziną Krzyska. Jest chwila przed godziną 16. Tabliczka informacyjna mówi, że godzina odwiedzin zaczyna się za parę minut. Przy drzwiach pojawia się brat Krzyska i przerywa przejmującą ciszę: „Operacja się udała, walczymy dalej. Chcesz go zobaczyć?” Jestem mu dozgonnie wdzięczna. Prowadzi mnie przed jego izolatkę. Oszklone pomieszczenie, a w nim ktoś. Kto? Nie wiem, nie widzę Krzyska, nie widzę uśmiechu, nie widzę życia... Co czuję? Strach? Przerazenie? Bunt? Czy może po prostu bezradność? Krzysiek wygląda niczym figura woskowa, ciągle utrzymany w śpiączce farmakologicznej. Nie daje znaku życia...





Rozpoczął się nasz horror. Strach spędzał mi sen z powiek. Mój świat ograniczył się do oddziału intensywnej terapii. Codziennie starałam się zrobić wszystko, żeby zdążyć na godzinę 16 do szpitala. Brat Krzyśka na bieżąco informował mnie o postępie w leczeniu bądź jego braku. Dwa dni po operacji Krzysiek wyglądał znacznie lepiej, jednak wciąż jego oddech podtrzymywały wyłącznie maszyny. To dało nam nadzieję, która szybko jednak prysnęła niczym bańka mydlana. Nerki przestały pracować, a ręce i nogi objęła martwica. Wyniki wykazały, że szpik nie regeneruje się, a organizm przestał walczyć. Brat Krzyśka poprosił mnie o rozmowę. Padły przeszywające, pełne smutku słowa: „Pozwólmy mu odejść”. Nie potrafiłam się z tym pogodzić. Nie rozumiałam, dlaczego mamy przestać walczyć i po prostu się poddać. Czułam oddech śmierci na plecach, jednak nie chciałam przyznać, że dalsza walka już nie ma sensu.

9 marca. Pamiętam ten dzień dokładnie. Spotkaliśmy się wtedy ostatni raz. Idę w kierunku sali Krzyśka. Znowu boję się śmierci. Wiem jednak, że dziś przyjdzie i zmieni wszystko nieodwracalnie. Postanowiliśmy się pożegnać, powiedzieć ostatnie słowa, dotknąć po raz ostatni jego chłodnej dłoni. Wiem i wierzę w to, że czuł naszą obecność i odszedł szczęśliwy...

Minęło siedem dni. Siedem dni, przez które przestałam istnieć. Nieświadoma tego, że świat wcale się nie zatrzymał, nieświadoma, że szczęście może jeszcze nadejść. W dłoniach kurczowo trzymam bukiet białych róż. Zmierzam w kierunku jednego z krakowskich cmentarzy. Dociera do mnie, że to co się stało, jest nieodwracalne. Z każdą minutą czuję coraz większy ból. Ceremonia dobiega końca, głos zabiera jednak bratanek Krzyśka. Wygłasza przemówienie, które zmieniło wszystko. Mówi o przyjaźni - przyjaźni mojej i Krzyśka. Nie mogę po raz kolejny powstrzymać łez. Podziękowania, które płyną z jego ust, są dla mnie czymś nierealnym, dzięki nim zauważam, że to była piękna walka, której wcale nie przegraliśmy. Podchodzi do mnie jego córka, brat, mama, najbliższa rodzina, znajomi, każdy z osobna dziękuje za moją obecność. Dostrzegam wszystko dopiero teraz, jak wielkie miałam szczęście, poznając Krzyśka, uczestnicząc w ostatnich chwilach jego życia. Kładę białe róże na grobie, zapalam świeczkę, upuszczam ostatnią łzę.

Dziś jadę windą na 12. piętro na hematologię. Jestem szczęśliwa. Dziś kocham to, co robię. Znowu kocham życie. Mam zupełnie inne podejście - rozumiem, wierzę, kocham, pamiętam. Dziś już wiem, co daje mi pełnię szczęścia, wiem, że w końcu naprawdę je odnalazłam. Dzięki moim najbliższym przetrwałam najgorsze, dzięki Krzyśkowi dostrzegłam wagę życia i sens śmierci. Jestem silniejsza i wiem, że z rakiem nie da się przegrać. Każda podjęta walka jest wygraną.

fot. Karolina Potoczak

Krypta pełna muzyki

Jan Kuśmierczyk

Co stanie się, gdy w czyimś umyśle pojawi się koncepcja skrzyżowania retro platformówki z tematyką lochów i gry rytmicznej? Odpowiedź jest prosta: niesamowita rozgrywka nieprędko pozwoli opuścić graczowi jego stanowisko przed monitorem.

Brace Yourself Games to grupa ludzi tworzących gry indie. To właśnie dzięki nim 23 kwietnia 2015 roku ukazała się pełna odsłona produkcji *Crypt of the NecroDancer*. Fani gier retro postanowili stworzyć coś zupełnie nowego. Wynikiem ich twórczości została gra bazująca na dwóch gatunkach. Jest to platformówka z motywem zdobywania lochów w rytm muzyki. Efekt ich pracy spotkał się ze sporym uznaniem społeczności graczy, co wiąże się także z pewną liczbą nagród zdobytych przez tę grę. Nietrudno też jest znaleźć ją w sieci. Sława pozwoliła jej wkroczyć na wiele rodzajów platform. Najpopularniejszą jest oczywiście Steam dla komputerów, lecz autorzy pomyśleli także o graczach konsolowych i można też ją znaleźć na Playstation 4.

Sam zakochałem się w tej grze. Dowiedziałem się o niej przypadkiem, a po spróbowaniu już nie mogłem się oderwać. Grafika gry przypomni rasowym graczom o uroku gier retro. Piksele wcale nie kłują w oko, lecz tylko zachęcają do magicznej rozgrywki. Sedno gry to oczywiście niesamowita muzyka. Rozgrywka polega na przejściu całego lochu. Haczyk tkwi w tym, że trzeba poruszać się stosownie do bitu. Każde podejście różni się od poprzedniego, dzięki czemu szybko nie zaznamy rutyny. Stałym elementem tego rodzaju gier jest także budowa postaci pod względem przedmiotów. Ilość daleka od małej pozwala stworzyć liczne kombinacje. Kolejną kwestią, w której gracz będzie mógł się zakochać, to główny wątek fabularny. Młoda dziewczyna, pragnie ruszyć za zaginionym ojcem do lochów w celu poszukiwania złotej lutni. Otrzymujemy pełny zestaw niespodzianek i zdarzeń, których gwarantuję, że nie da się przewidzieć. Każda gra posiadająca tryb wieloosobowy pozytywnie wpływa na opinię graczy. Także tutaj możemy się z nim spotkać. Lokalna kooperacja pozwoli odświeżyć i urozmaicić rozgrywkę.

Crypt of the NecroDancer to tytuł, który przez długi czas powinien zostać zapamiętany. Nie tylko fani gier retro, ale także młode pokolenie bez żadnego przymuszenia potrafi uznać tę grę za jedną z perełek.



Droga Łuku

Paweł Hadrian

O łuczniczej sztuce samurajów

Kyudo, czyli japońskie łucznictwo, jest sztuką walki, o której prawdopodobnie większość z was nigdy nie słyszała. Nic w tym dziwnego, bo w Polsce sport ten dopiero zaczyna być popularyzowany. Tylko czym właściwie jest kyudo i co wyróżnia je od europejskiego łucznictwa?

Cóż, aby do tego dojść, należy najpierw spojrzeć na historię łucznictwa na Wyspach Japońskich. Łuk bowiem towarzyszył przodkom samurajów niemalże od początku ich bytności na terenach pacyficznych wysp. Pełnił wtedy głównie funkcję użytkową jako narzędzie polowań oraz jako narzędzie rytuałów. W późniejszym czasie, gdy na terenie archipelagu kształtować zaczęło się feudalne państwo (ok. II - III w. n. e), łuk stał się symbolem władzy. Zawody łucznicze zostały popularną rozrywką dworską, a łuczników kojarzono z ludźmi wykształconymi i wyrafinowanymi. W następnych wiekach milicje chłopskie i zaciężne armie, na których opierała się wcześniej siła militarna japońskich rodów, zostały zastąpione przez słynnych samurajów. Ci wbrew powszechnemu mniemaniu nie walczyli jedynie mieczem, lecz równie często posługiwali się łukiem. Era samurajów to dla japońskiego łucznictwa złoty wiek, powstały wtedy liczne szkoły łucznicze, w tym i takie, które istnieją do dziś, łucznicy natomiast doskonalili się w boju, co umożliwiała im ciągłe sprzeczki możnych rodów. Jednak ten okres rozkwitu zakończyły, przywiezione w 1543 roku na wyspy przez Portugalczyków, muszkiety, na rzecz których łuk utracił znaczenie bojowe. Mimo to dum-

ni samuraje nie mogli rozstać się z łukiem i dla podtrzymania łuczniczych tradycji regularnie organizowali wielkie zawody w świątyni Sanjusangendo znajdującej się w Kioto. Jako że łuk nigdy nie wrócił do łask, na polu bitwy pogłębiał się charakter ceremonialny strzelania.

Współczesne kyudo istnieje dzięki Toshizane Hondzie, który łącząc style bojowe i ceremonialne założył nową szkołę, nazwaną od niego Honda-ryu, i dzięki temu droga łuku nie uległa zapomnieniu. Obecnie Zen-Nihon Kyudo Renmei, czyli japońska federacja kyudo, zrzesza mistrzów z wielu szkół, przez co jest niejako alfą i omegą kyudowego świata.

Na tym koniec, dla niektórych nieco przydługiej, dla innych zbyt krótkiej, lekcji historii. Lekcji, bez której nie można by zrozumieć znaczenia i sensu kyudo. Nazwa samej sztuki zdradza bardzo dużo, bowiem w dosłownym tłumaczeniu kyudo to „droga łuku”. Nazwa może kojarzyć się wam z judo

czy kendo, bowiem wszystkie z nich to jakieś „drogi”. Jest to bardzo ważne, gdyż „droga” oznacza,

że nie jest to jedynie szkolenie ciała, ale i duch oraz filozofia są ważne. W kyudo przejawem tego jest ceremonia oraz charakter ćwiczeń. Kyudoka, czyli osoba zgłębiająca tajniki tej sztuki, powinien ćwiczyć swoje ciało i ducha. Przekładając to na nieco prostszy język - nie możemy skupiać się jedynie na technice czy celności, choć wydawałoby się, że o to chodzi w łucznictwie. Tutaj jednak największym przeciwnikiem dla łuczni-

ka jest on sam. Poprzez strzelanie powinien wyrazić siebie, a wyrażając siebie, dążyć do doskonałości, pokonując swoje wady. Rozwijając jedynie aspekt techniczny, a zaniedbując duchowy, nigdy nie uda nam się oddać pięknego, celnego strzału, a to jest w kyudo najważniejsze.

Jeżeli jeszcze nie odłożyliście artykułu zrażeń nadmierną ilością filozofii, to chęć jeszcze wspomnieć o kilku czysto technicznych i bardzo ciekawych aspektach kyudo. Japoński łuk, zwany „yumi”, jest asymetryczny, trzymamy go w jednej trzeciej łuczyska (drewniana część łuku). Ponadto jest znacznie dłuższy niż łuki europejskie, może mieć ponad dwa metry. Technika strzału także bardzo różni się od tej znanej nam z rycerskich tradycji czy sportowych występów.

Gdybyście chcieli zobaczyć kiedyś kyudoków w akcji, nie musicie, na szczęście, jechać do Japonii. W Polsce istnieje kilka kyudowych klubów, w tym jeden w Krakowie oraz Polskie Stowarzyszenie Kyudo, które jest częścią europejskiej federacji, dzięki czemu co jakiś czas na ziemiach Piastów odbywają się łucznicze pokazy, niektóre z udziałem wschodnich mistrzów. Jeśli kogoś zainteresował temat i pragnie dowiedzieć się więcej, zapraszam na stronę internetową PSK oraz stronę Krakowskiego Klubu Kyudo Aoi.



Świąteczne Zakupy!

Piotr Mazurek

Święta Bożego Narodzenia nadchodzą szybkimi krokami, a ty nie masz jeszcze pomysłu na prezent?

Zobacz nasze propozycje na tegoroczne święta.

Odwiedził was Mikołaj, czy sami nim byliście? 6 grudnia już za nami, a Boże Narodzenie już za tydzień. Mamy kilka propozycji, które mogą was zainspirować przy zakupie prezentów dla waszych bliskich.

„Kevin sam w domu” to klasyka świąt. Fabułę tego filmu zna każdy z nas i oglądanie co roku tego samego może się szybko znudzić, chyba że ma się pod ręką projektor, dzięki któremu możemy wyświetlić obraz

na większej przestrzeni. Koszt typowego projektora to ok. 2000 zł, ale zawsze można zaopatrzyć się w projektor wykonany z kartonu, który wyświetli obraz na ścianie za jedyne 80 zł.

Jeśli osoba, którą chcecie obdarować, jest sportowym świrem, to dobrym prezentem może być opaska sprawdzająca czynności życiowe. Takie osoby zawsze chcą mieć wszystko pod kontrolą i wiedzieć o sobie więcej. Koszt takich opasek jest różny

i waha się w granicy 150-200 zł. W cenie 180 zł znajdziemy Xiaomi Mi Band 2, który jest wodoodporny i wygląda estetycznie na ręce.

Jeśli mamy większy budżet, to możemy zaopatrzyć się w konsolę do gier. Na rynku mamy dwie konkurujące ze sobą firmy. Sony ze swoim PlayStation 4 i Microsoft z Xbox One. W świątecznych promocjach możemy znaleźć obie konsole w cenie 1000 zł wraz z pojedynczymi grami. Ważnym aspektem, którym należy się kierować przy wyborze, będą gry, ponieważ każda z tych konsol ma kilka ekskluzywnych tytułów na koncie.



Japońska muzyka relaksacyjna, znasz?

Krzysztof Głowacki

Pragnąc się odprężyć...

Kto z nas nie ma ochoty po ciężkim dniu się zrelaksować? Chyba każdy marzy o chwili odprężenia, ucieczki myślami od codzienności i problemów. Jeśli tego pragniesz, a nie masz pomysłu jak tego dokonać? Nie martw się nic, wycho-
dź na przeciw Twojemu strapieniu! W celu osiągnięcia spokojnego stanu ducha będzie nam potrzebne kilka rzeczy, mianowicie: Internet, słuchawki, trochę wolnego czasu, opcjonalnie można robić coś, co się naprawdę lubi. Internet potrzebny nam będzie w celu odsłuchania muzyki, np. z na pewno znanej nam witryny YouTube. Tą muzyką będzie japońska muzyka relaksacyjna i pod taką też frazą proszę jej szukać. :) Jest to kapitalna sprawa dla ludzi, którzy lubią spokojne, harmonijne brzmienia. Osobiście poznałem ten gatunek „na własne uszy” na jednej z lekcji grafiki komputerowej i od razu przypadła mi do gustu, a pracowało się przy niej świetnie, jeszcze lepiej czuło po ciężkim dniu. Polecam jej posłuchać, a relaks i spokój ducha jest gwarantowany. Tak niewiele należy zrobić, a tak wiele może uczynić to dobrego dla naszego stanu ducha.



Bajka o „Łączności”

Uczeń 2Ea

Przymawiał jednego razu „Łączności” licealista:
„U nas są dziewczyny, u was męska lista”.
Na to „Łączność” rzekła: „To twoje liceum bez naszych domofonów byłoby muzeum”.



Malazańska księga poległych

Maciej Łapczyński

A co jeśli powiem ci, że istnieje cykl powieści, w którym nie zliczysz bohaterów?

„Malazańska księga poległych” to cykl powieści „high fantasy” kanadyjskiego pisarza Stevena Eriksona. Składa się na niego 10 tomów: „Ogrody Księżycy”, „Bramy Domu Umarłych”, „Wspomnienie lodu”, „Dom Łańcuchów”, „Przypływy nocy”, „Łowcy kości”, „Wicher śmierci”, „Myto ogarów”, „Pył snów”, „Okaleczony Bóg”. Obszerność sagi odpowiednio wyraża wielkość uniwersum, jakie stworzył autor. Jest to zupełnie odmienny świat fantasy niż ten, który większość z nas ma przed oczyma, gdy ktoś zapyta go o ten rodzaj powieści. Akcja toczy się w powoli upadającym Imperium Malazańskim oraz w innych królestwach i światach, które ciężko zliczyć. Głównymi bohaterami są saperzy z oddziału Podpalczy Mostów należącego do malazańskiej armii. Trudno wyobrazić sobie bardziej zróżnicowaną i zupełnie niepasującą do siebie grupę żołnierzy, a jedyne, co trzyma ją razem, to wspólna obsesja na punkcie wysadzania różnych budowli, a czasem nawet siebie. Oprócz nich w powieści śledzimy losy prawie każdego przedstawiciela z występujących tutaj ras, nie wspominając o bogach. Głównym tematem akcji są walki toczące się podczas niezliczonych wojen prowadzonych przez Imperium, w których biorą udział Podpalcze Mostów. Spory te bledną w perspektywie konfliktu, który rozwija się i rośnie wraz z fabułą i w który zamieszani są nawet pradawni bogowie oraz istoty spoza świata, w którym obecnie żyją ludzie. Polecam tę sagę każdemu, kto uwielbia wartko toczącą się akcję, niekiedy krwawą, obfitującą w liczne zwroty akcji, co przy tak ogromnym zróżnicowaniu świata, który wymyślił autor, sprawia, że nasza wyobraźnia krzyczy z zachwytem. Jeżeli więc lubisz fantasy i chcesz długo rozkoszować się przyjemnością zgłębiania nowego świata, jest to z pewnością cykl stworzony dla Ciebie. Całość to około 10 000 stron, więc nie trzeba się martwić niedosytem długości przygód ulubionych bohaterów, no chyba że zginą, ale i wtedy prędko znajdziesz nowych.

